

Obama w Warszawie, Dni Gniewu i Marsz Wolnych Konopii

1 czerwca 2011

Sobota, 28 maja 2011. Godzina 9:30. Jestem w drodze na Krakowskie Przedmieście. W oczy rzucają się puste ulice i fluoroscencyjne kamizelki, w których stoją policjanci z całej Polski. W miarę zbliżania się do Pałacu Prezydenckiego, ruch wśród pieszych coraz większy. Wszyscy wypatrują przyjazdu prezydenta USA. Słychać syreny policyjne. Wszyscy w zasięgu mojego wzroku włączają aparaty i kamery, zbliżając się maksymalnie do ulicy i napinając niebieski sznur przewiązany o latarnie. Niestety, to tylko kolejny radiowóz.

Idę dalej, mijam znudzonego kamerzystę TVN24, który przysiadł na swojej platformie i dojada kanapkę. Restauratorzy rozstawiają krzesła i włączają muzykę w swoich lokalach. Zaczepia mnie amerykanka, pytając się, z której strony wypatrywać Obamy.

Nadjeżdża. W oddali widać czerwono-niebieską dyskotekę. Po chwili widzę czarnoskórego polityka oglądającego zabytkowe kamienice. Jak szybko się zjawił, tak szybko zniknął. Radość na twarzach gapiów jednak pozostaje. Kontynuuję spacer i dochodzę do Pałacu. Tłum coraz większy, ludzie podziwiają amerykańskie wozy, które stoją w kolejce, czekając na możliwość wjazdu. Widzę przynajmniej dwa mobilne centra monitoringu z wysuniętymi kamerami na dachu. Te naszpikowane elektroniką pojazdy kosztują po 700 tys. złotych. Obydwa mają polskie rejestracje.

Trochę dalej zaczyna się strefa zero. Przy barierkach grupa starszych ludzi z transparentami, a za nimi dziennikarze trzech stacji nadających na żywo. Idę w tamtym kierunku i trafiam na wywiad. Przeprowadza go dziennikarz Superstacji, który słucha zwierzeń jednego z uczestników pikiet. Pan

obwieszony znaczkami religijnymi opowiada, jak za czasów stanu wojennego był bity przez ZOMO. Po 5 minutach rozmowy wciąż nie zdaje sobie sprawy z tego, że na antenie znajdzie się tylko 5 sekund.

Wracam na Plac Trzech Krzyży. Pod Ministerstwem Gospodarki rozpoczynają się Dni Gniewu. Sama demonstracja wygląda dość mizernie. Zebrało się nie więcej, jak 100 osób. Wśród nich są zarówno nastolatki, jak i osoby starsze. Policjanci kontaktują się przez radio, zdają relację o ilości przybyłych i proszą o więcej radiowozów. Anarchiści rozkładają transparenty i rozpoczynają się przemowy. Całe zdarzenie nagrywa telewizja Polsat oraz Superstacja, należąca do tej pierwszej. Jest obecnych kilku fotografów. Policjanci dopinają żółwie i otaczają zebranych. Jeden z nich zwraca się do osób, jakie właśnie doszły ze strony ul. Hożej – „Dołączyć do swoich”. Nad głowami protestujących zaczyna krążyć policyjny helikopter.

Tymczasem na Alejach Ujazdowskich przechodnie rozgoryczeni patrolami policji uniemożliwiającymi przejście na drugą stronę zaczynają się buntować. Pewna starsza pani z siatkami wypełnionymi po brzegi wylewa swoje niezadowolenie na funkcjonariusza, przy którym akurat stoi. Ten z niemalże błagalną miną powtarza po raz n-ty „Proszę Państwa, nie możemy nikogo puścić... Taki mamy rozkaz od przełożonych, po prostu”. W odpowiedzi na zapytania o to, jak długo potrwa ich przetrzymywanie żali się do tłumu „Nie wiemy, my nic nie wiemy”. Tymczasem jednemu mężczyźnie udało się przebiec na drugą stronę. Zachęcona młoda kobieta z rowerem robi to samo. Zgodnie z zasadą kuli śnieżnej, wszyscy zebrani nagle zaczynają przechodzić przy patrzących znacząco na siebie policjantach, z których jeden rozłożył ręce i począł wypatrywać na horyzoncie radiowozu patrolującego trasę przejazdu. Na jego oraz kolegów po fachu nieszczęście zajeżdża samochód Biura Ochrony Rządu, z którego pada wrzaskiem komenda, by trzymać ulicę czystą.

Na kilkanaście minut przed przejazdem kolumny prezydenckiej oddziały prewencji mobilizują się. Grupę manifestujących, których jest coraz więcej przyciśnięto do murów ministerstwa. Stare, niebieskie furgonetki policyjne stają wzdłuż, jedna za drugą, tworząc tym samym szczelny parawan uniemożliwiający ludziom z zewnątrz przyglądanie się. Zostaje ściągnięty policyjny pick-up z urządzeniem do kierunkowego przesyłania boleśnie głośnych komunikatów dźwiękowych i syren na daleką odległość – LRAD. Może on spowodować nawet trwałą utratę słuchu oraz krwawienie. Samochód ze 130 tysiącami na pace staje ostentacyjnie naprzeciw manifestującej grupie. Przyjeżdżają policjanci z gazem łzawiącym, wszyscy ukrywający swoją tożsamość za czarnymi kominiarkami. Środki skierowane przeciwko tak nielicznej, spokojnej demonstracji są przyjmowane co najmniej ze zdziwieniem. Zgromadzeni mają zaplanowaną i uzgodnioną z władzami trasę przemarszu, lecz policja się na to nie zgadza. Jak się później dowiaduję, demonstranci mają nie małe problemy z wydostaniem się poza przetrzymującą ich policję, która ma zamiar wypuszczać ludzi pojedynczo, uprzednio spisując dane każdego z nich.

Mknąca z dużą prędkością policyjna KIA zostaje zatrzymana przez funkcjonariusza kierującego ruchem i skierowana na pobocze. Następnie przez ulicę kilkakrotnie w obydwie strony przejeżdżają rządowe samochody. To znak, że już za krótką chwilę pokaże się „bestia” siedząc w opancerzonym Cadillacu, nazywanym podobnie. Najeżdżają pierwsze policyjne motocykle, samochody BOR-u, Chevrolety Secret Service z siedzącymi na tyle agentami z przygotowaną do strzału bronią i w końcu Cadillac One z Obamą spoglądającym spokojnie przez 10-centymetrową pancerną szybę. Kolumna kieruje się w stronę kancelarii premiera. Demonstranci gwizdzą i pozdrawiają prezydenta środkowymi palcami. Po kilku sekundach limuzyna znika, a ja kieruję się w stronę Pałacu Kultury.

Dochodząc w pobliże placu defilad jestem miło zaskoczony ilością ludzi, jacy przyszli manifestować swój sprzeciw dla

kryminalizacji upraw konopi. Media podają, że jest 6-7 tys. osób, z których zdecydowana większość to ludzie młodzi. Wchodząc w tłum przyglądam się demonstrantom. W tym momencie mój entuzjazm mija. Choć frekwencja jest imponująca, to jakość wprost przeciwnie. Na placu jest mały odsetek ludzi rozumiejących istotę problemu. W oczy bardziej rzuca się środowisko blokowisk, które zjawiło się dla konfrontacji z policją oraz małolaci, których celem jest jedynie bezproblemowe „zajaranie blanta”. Skandowanych jest kilka haseł. Największą popularnością cieszą się „Kto nie skacze, ten z policji” oraz „Sadzić, palić, zalegalizować”.

Tłum jest przesiąknięty ludźmi Pana Palikota, który jak widać znalazł skuteczny sposób, by zyskać czyjeś głosy. W tym celu przygotowano tysiące ulotek z programem „Ruchu Poparcia Palikota”. Opłaceni przez niego ludzie chodzą pośród demonstrantami i zbierają podpisy. W końcu pojawia się on sam, pozując fotoreporterom i mówiąc każdemu, kto stanie mu na drodze, że policja zatrzymała sześć tirów, które miały towarzyszyć protestującym.

Po długich staraniach i przypływającym zniecierpliwieniu u zgromadzonych, można zacząć pochód. Zjawia się jedyny dopuszczony do przemarszu samochód z zestawem nagłaśniającym. Kierowca przeprosza wszystkich, że musieli czekać i opowiada o porannych nalotach policji na domy kilku jego kolegów, co spotyka się z oburzeniem i gwizdami. Policja zatrzymuje ruch na Marszałkowskiej i daje jeden pas dla Marszu Wolnych Konopi.

Kiedy wszyscy ruszają, ja zostaję na placu i zaczynam współczuć kierowcom, którzy nie wiedząc o mających nastąpić wydarzeniach, zostawili tu swoje auta. Mogą teraz podziwiać odciski butów na całej karoserii i zacząć szukać dobrego blacharza. Porównuję też dwa, skrajne zachowania policji, która nie wiedząc czemu, środki zabezpieczające dobrała odwrotnie, niż podpowiada logika. Do setki protestujących na placu Trzech Krzyży ściągnięto setkę funkcjonariuszy, LRAD, gaz łzawiący i helikopter, wchodząc na zakończenie w

konfrontację bezpośrednią, co nie miało jakichkolwiek podstaw. W przypadku Marszu Wolnych Konopii, gdzie co chwilę wprost wyśmiewano się z policjantów, a zebranych naliczono kilka tysięcy – oddziałów prewencji było prawie tyle samo, co poprzednio i to bez drogich zabawek do tortur.

Autor tekstu i zdjęć: FreeG

Relacja dla „Wolnych Mediów”